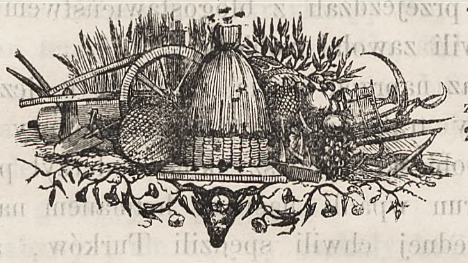
Tom VI. Nr. 5.

11. Lutego. 1862.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jan Sobieski, król polski.

I. Wojna z Turkiem.

Było to w listopadzie 1673go roku. Umiera król Michał we Lwowie, a na Podolu pod miastem *Chocimem* stoi polskie wojsko naprzeciw tureckiego, oko w oko surowo sobie patrząc. Nierówne to tam siły, bo naszych tylko czterdzieści tysięcy, a Turków aż dwieście razy po tysiąc: lecz z nami Pan Bóg i przeczysta Panienka co już raz polską ziemię od szwedzkiej nawały uwolniła, a z poganami tylko księżyc rogaty, co sobie go na chorągwiach poprzyczepiali. Byli też z naszymi podonczas i Kozacy pod sławnym atamanem *Konaszewiczem*, chcąc swoje złe odrobić, bo ich sumienie gryzło, że oni moc turecką na matkę Polskę sprowadzili.

Trzy dni ucierali się nasi zwolna z Turkami, bo hetman *Sobieski* chce najprzód wypróbować ich siłę i odwagę, a przy tych drobnych utarczkach wstępuje duch w naszych, bo zawsze są górą. Nareszcie dnia czwartego przed wschodem słońca

uszykował hetman wojsko i dano znak do modlitwy. Uklękli wszyscy, w gorącej modlitwie siebie i Ojczyznę Bogu polecając a kapłani przejeżdżali z błogosławieństwem między szeregami. Po chwili zawołał Sobieski:

— A teraz naprzód bracia, za wiarę i ojczyznę!

Zabrzmiały trąby i kotły; okrzyk bojowy rozległ się po szeregach, a Sobieski spiąwszy konia uderzył pierwszy na pogan. Jak piorun wpadli nasi za hetmanem na obóz nieprzyjacielski; w jednej chwili spędzili Turków, a rozerwawszy wały obozowe, jak rozhukana rzeka wtargnęli do środka. Nie pomogły armaty, z których Turcy bez ustanku prażyli, bo męztwo naszych w onej chwili było niesłychane. Wnet więc ulegli poganie pod natarczywością polskich wojowników; rzucili broń i jęli uciekać którędy kto mógł, a wszystko ku rzece Dniestrowi, od której niedaleko Chocim jest pobudowany. Myśleli niebożęta, iż tam znajdą most przez siebie postawiony, a tu tymczasem mostu nie ma, bo go Polacy spalili; więc musieli się puszczać wpław Dniestrem, który jest bardzo rwący, przyczem ich wielka moc potonęła.

Tak więc odniósł Sobieski tu pod Chocimem wielkie zwycięztwo nad Turkami, a dziwnem zrządzeniem bożem wypadło to zwycięztwo w drugi dzień po śmierci króla Michała. Hetman jako dobry wojownik nie chciał poprzestać na tej jednej wygranej, ale umyślił pociągnąć za Turkiem do Wołoszczyzny i tam mu kurtę skroić. I już wszystko było do tego przygotowane, gdy oto przychodzi wieść do obozu, że król Michał już umarł. Więc jaki taki zasłyszawszy o tem, zamiast iść za poganami, wolał jechać do Warszawy na obiór nowego pana, i tak wnet wszystka szlachta się rozjechała, co widząc Sobieski, także za innymi pociągnął na sejm do Warszawy.

Tu zaczęły się znowu zatargi o koronę i o wybór króla, i trwało to przez kilka miesięcy, aż w maju przyszło do ostatecznego rozstrzygnięcia. Więc na polu elekcyjnem zawołał hetman polny Jabłonowski:

— Jan Sobieski, co pobił Turka, niech nam króluje! — A gdy i inni panowie zawołali:

— Niech żyje Jan Sobieski, nasz król! — tak owi, co

zagranicznych książąt na tron polski koniecznie wprowadzić chcieli, musieli już zamilknąć, widząc, że większość zebranej szlachty obstaje za Sobieskim. Okrzyknięty więc został królem hetman jako *Jan trzeci*, i Bogiem a prawdą, stało się tem najlepsze co się stać mogło, bo Sobieski mając lat 44, był wtedy w sile wieku, a jako roztropny i waleczny wojownik, dał już narodowi nie jeden dowód, że za całość ojczyzny nietylko majątek ale i życie gotów jest poświęcić.

Lecz nie zabawy i nie uciechy czekały króla zaraz z początku na tronie, bo oto nie dopełniwszy nawet koronacji, zebrał co mógł wojska i ruszył na Turka, który znowu się pokrzepiwszy, we dwieście tysięcy najechał polską ziemię.

Szedł król Sobieski jak mógł prędko na wroga, lecz Turek jeszcze prędzej posuwał się w głąb Polski; ziemią krew a niebem łuny szły za nim jak ogon za kometą, a poganin niepowstrzymany ciągnął dalej i przyciągnął aż pod Lwów, gdzie już czekał na niego król ze swem szczupłem wojskiem, bo go nie było nad trzydzieści i sześć tysięcy. Na kilka mil w około zaległy pola tureckie zastępy, a król rozstawił swoją garstkę po wzgórzach Lwów otaczających a tak sztucznie, że się tego niby wielka moc wydawało, i z tem oczekiwał napadu. Uderzyli Turcy, ale nie bardzo śmiało, kilkakroć już od Polaków rozumu nauczeni, a nasi całą duszą naprzód, i jak się zwarli, tak piętnaście tysięcy pogan padło na miejscu, a reszta odstąpiła od miasta.

Roztropne to odparcie wrogów zpode Lwowa wiele dobrego zrobiło, bo choć nie zniszczyło Turczyna, to przynajmniej złamało pierwszy a straszny zapęd tej nawały. Przygotowywał się więc król Sobieski do dalszych z poganami zapasów, a oni tymczasam wracając palili i niszczyli wszystko ze samej złości że im się nie wiedzie. Ustępując tak przyszli pod *Trębowlę*, zamkiem obronną i oblegli to miasto.

Niewiele rycerstwa polskiego pod wodzą *Samuela Chrzanowskiego* zawarło się w Trębowelskim zamku, a tu poganie jak mrówki obleźli do koła, a tłuką mury, i spinając się po drabinach zabijają straż. Patrzy Chrzanowski ze zamkowej wieży i widzi że trudna obrona, lecz nie tracąc ducha oddaje twierdzę

opiece boskiej i robi co może. Lecz oto część żołnierzy co bronią murów przybiega do niego i rzecze:

— Panie, wydaj zamek w ręce Turków, póki czas; jeszcze teraz można z nim robić układy i puści nas przynajmniej żywych. bo później to i życie marnie oddamy i zamku nie obronimy!

— Nie, musimy się bronić — rzeknie Chrzanowski — czyśmy to nie Polacy? —

A wtem przypada zamożniejsza szlachta:

— Poddaj się poddaj! bo cóż nam że się bronimy, kiedy z niskąd pomocy! Mamyż darmo ginąć?

Więc Chrzanowski widząc taki popłoch zwołuje całą radę z rycerstwa złożoną, aby się zastanowić nad tem czy wydać zamek w ręce Turków, czy jeszcze się dłużej bronić. Zeszła się starszyzna, roztrząsają to i owo, ten mówi tak a ów inaczej, i stanęło na tem, że trzeba się poddać, chcąc zachować życie, bo za dzień, za dwa mogą wszyscy bez pożytku zginąć.

A oto przez uchylone drzwi od radnej sali słyszała żona Chrzanowskiego smutny ten wyrok starszyzny, i jako dobrą Polkę zabolało ją mocno serce na oną mowę i pomyślała w duszy:

— Oh, jakaż hańba dotknie mój naród, jeżeli oni poddadzą miasto Turczynowi. Polak, co raczej zginąć potrafi, jak ugiąć kark pod jarzmem podłej niewoli, Polak Chrześcijanin miałby tu czołem uderzyć przed wrogiem poganinem?

I pomyślawszy tak chwyciła pani Chrzanowska wielki nóż ze ściany, wpada z nim do radnej sali, staje tu przed mężem i rzecze:

— O, jakąż hańbą chcecie wy się zmazać! Patrz Samuelu przysięgam ci na Boga żywego, że jeżeli zechcesz zamek wydać Turczynowi, to ciebie i potem siebie przebiję tym nożem. Brońcie się do upadłego! choćby wam wszystkim przyszło zginąć, bo tak na Polaków przystało.

Rumieniec wstydu oblał twarz Chrzanowskiego i twarze wszystkich rycerzy. Poczuli, że jedna niewiasta wyższą jest i odważniejszą od nich i to ich bardzo ubodło. Chciał się więc jeszcze tłomaczyć Chrzanowski, ale żona nie zważając na jego mowę wołała:

— Na Boga zaklinam was, brońcie się, a ja wam mówię że pomoc Jego i króla niedaleka!

Wtedy stanął Chrzanowski między rycerzami i w te odezwał się słowa:

— Panowie mielibyśmy mieć słabsze dusze od jednej niewiasty? My rycerze i obrońce zwycięzkiej Polski? O, zaprawdę, raczej nam wszystkim zginąć i legnąć pod gruzami tego zamku, niż żebyśmy mieli wchodzić z Turkiem w hańbiące układy.

I zaczął wydawać rozkazy, żeby naprawiono mury gdzie tylko można, żeby podwoić straże i mieć się na baczności we dnie i w nocy.

Więc podniósł się duch w Trębowelskim zamku na oną odważną groźbę tej zacnej żony i Polki. Z podwójną wytrwałością odpierano napady oblegających Turków, aż oto w kilka dni ukazały się sztuczne ognie w powietrzu od zachodniej strony, i wnet rozległa się po zamku ucieszna nowina, że król idzie na odsiecz. I dopieroż to podniosły się niezliczone modlitwy i śpiewy dziękczynne na chwałę boską, a serdeczne dziękowania dla pani Chrzanowskiej, że swem mężnem sercem załogę Trębowelską od hańby wybawiła. Jakoż na posłuch o zbliżaniu się króla, jęli się Turcy w drogę zabierać, ale ich już Sobieski na sucho z łapki nie puścił; przypadł ze swoimi a ubiwszy jeszcze kilka tysięcy poganów, wybawił oblężoną Trębowlę.

Nie poprzestał król Sobieski na tem; oswobodziwszy Trębowlan, podziękował pani Chrzanowskiej za jej czyn rycerski, i wyruszył dalej ścigać Turka, i ścigał go aż za Dniestr, bo z powodu swych małych sił nie mógł już dalej iść za nim. A uporawszy się z tem na chwilę, wrócił Sobieski do Krakowa, i tu dopiero koronował się jako prawy król, wraz ze żoną swoją imieniem Marją Kazimirą. I było tam radości wiele przy tej koronacyi, bo zdawało się, że razem z takim wojownikiem i lepsze czasy dla biednej Polski wracają.

Śpiewka smutnej dziewczyny.

Oj nieszczęśliwa dola, nieszczęśliwa dola,
Upadłeś smutku na mnie jak rosa na pola;
Oj roso, ty kwiateczki karmiesz i ty myjesz,
A ty mnie smutku palisz, a ty mnie zabijesz.

Usiadły zazuleńki na wysokim buku,
Trzepoczą skrzydełkami i wołają: kuku!
Oj, innym to na szczęście moje zazulenki,
Dla mnie tylko po trumnę lećcie do mateńki.

Stroi się macieżanka we woniące kwatki,
Pod gajem głóg rozkwita, a w polu bławatki;
Oj darmo wy kwitniecie, darmo kwatki moje,
Już ja włosów, mych włosów wami nie ustroję.

Gonią się czarne chmury po wysokim niebie,
Na słotę wilga płacze a kokoszka grzebie;
Oj czemuś moje niebo nie takie jak było?
Czemuś ty moje liczko tak się zachmurzyło!

Oj upadł śnieg na pola, upadl i na łąki,
Nie śpiewa w gaju słowik, a w niebie skowronki:
Oj nie ma dla nich słonka, nie ma dla nich wiosny,
A dla mnie szczęścia nie ma, jeno grób u sosny.

Grześ z Mogiły.

Żebrak.

We wsi Grabince na odpuście zjawił się bardzo dziwny dziad: nie miał on jednej nogi, a na plecach miał guz wielki i był dobrze garbaty, a umiał tak dobrze wyśpiewywać przeróżne pobożne pieśni, to o sądnym dniu, to o piekielnych mękach, to o karze boskiej, to o Częstochowskiej Pannie najświętszej, że go ludzie obstąpili do około i słuchali tych słów świętych jakby jakiego kazania.

I gdy on tak śpiewał i rękawem podartym łzy sobie ocierał, gospodarze wsiowi rozgadali się o nim i jeden rzeknie:

— Dla Boga świętego, jak przeraźliwie śpiewa ten dziadek biedny, aż włosy wstają na głowie.

A drugi się odzywa:

— A czy widzicie te łzy jego i te ręce złożone, te palce ściśnione na piersiach, a jak on drzy cały.

Trzeci zaś rzecze:

— A widzicie jak on każdy kawałeczek chleba, co mu kto poda do ręki, całuje i ostrożnie kładzie do torby, aby się nie kruszył i jaka okruszka nie upadła na ziemię świętą.

I tak gadając zbliżyli się do dziadka klęczącego, a gdy on przestał śpiewać, pytali go:

— A zkąd was dziadku pan Jezus prowadzi? wy widać z dalekich stron i podobno pierwszy raz na naszym odpuście.

A dziadek pokiwał głową i rzecze:

— Mój panie Jezusie miłosierny, to widać już mię i krajanie moi nie poznali; oj zmieniłem się okropnie; nie mam jednej nogi, na plecach garb jak torba sieczki, a dwie podarte torby i obszarpane łachy, to cały mój majątek.

Gdy dziad coś wspomniał o krajanach, ciekawi gospodarze nuż go dalej wypytywać i zagadywać:

— A z której to wy wsi, może gdzie blisko od nas?

A dziad westchnął i tak powiada:

— Tać ja wasz wsiowy i wasz rodak, tać ja Grzesiek Szpunar, ot po tym Walku Szpunarze, co to był tak długo karbownikiem u nieboszczyka pana, a ja służyłem za młodu we dworze jako kuchta, a potem — tu zaczął stary i garbaty dziad płakać.

Zadumali się strasznie gospodarze na to, boć oni pamiętali karbownika Walentego i znali dobrze jego syna Grześka, co to dokazywał po wsi co nie miara za młodu. Bez niego nie było ani pijatyki ani bitki, a co słowo przeklinał, nikogo nie uczcił dobrem słowem i wyrabiał różne dziwa we wsi między chłopakami.

I zaczęli sobie gospodarze przypominać różności i tak gadać między sobą:

— Ot widzicie, że to nigdy nie trza brykać, kiedy pan Jezus daje i zdrowie i chleb i urodę, boć to może znowu odebrać każdemu w jednej chwili.

Przybliżyły się też gospodynie wsiowe do dziada a między niemi była jedna najstarsza i ta przypominając sobie z dawna Grześka dworaka, tak się do niego odezwie:

— A widzisz nieboże, jakeśto ty pomiatał chlebusiem bożym po mojej sieni, pamiętasz wtedy na mojem weselu i gadałeś ze śmiechem, że chleb kwaśny, nieupieczony, bez drożdży i ze złego zboża; pamiętasz coś to ty robił z jedzeniem wsiowem, jakeś wygadywał i bluźnił na dar boski i ludzki. I zaczęła mu tak gospodyni przypominać różne zbytki z młodości, aż się druga odezwała na to:

— Dajcie temu dziadkowi spokój, on ma już za swoje dosyć od pana Jezusa: lepiej płakać nad jego biedą i brać sobie to dobrze do głowy, aby tak nie robić, jak on nieszczęśliwy i głupi wyrabiał za młodu.

A inna gospodyni przyprowadziła swoje dzieci dorosłe do dziada i tak do nich mówi:

— Otóż macie żywe pokaranie boskie na tym dziadku, a wiecie za co? Oto, bo za młodu był wielki ladaco i darem Bożym pogardzał. Z początku to jadał i kaszę niesłoną i chlebuś prosty z cebulą i czosnkiem i pościł w piątki i klękał do paciorka świętego i posłuchał i zrobił co mu kazano: ale jak sobie w roku we dworze podjadł, to już tylko łapał za chleb pytlowany i za mięso, już paciorka nie mówił na kolanach; co niedziela latał do karczmy i nie było nad niego większego zbijacza na wsi, tak że go aż nieboszczyk nasz pan musiał odprawić. A patrzcież teraz? Ot widzicie, co zrobić może pan Jezus miłosierny i sprawiedliwy z każdym człowiekiem czyli on królem, czy panem, czy chłopem, czy wojakiem, jeżeli nie umie żyć pobożnie i słuchać świętych przykazań boskich.

A dziatki słuchając tej nauki pytały się matki:

— Czy to z naszej wsi ten dziadek nieszczęśliwy?

— Ot z tamtej starej chałupy w ogrodzie, rzekła matka, gdzie teraz siedzi Szymek Szpunar, a to rodny stryk ów dziad tego Szymka.

Dziatki zadumały się niesłychanie na to i poszły do kościoła uklękły pod krzyżem pańskim i zmówiły paciorek, aby ich pan Jezus obronił od zbytkowania w jedzeniu i utrzymał ich w pobożności i posłuszeństwie dla starszych.

Zjawił się także i Szymek Szpunar i nie mógł wierzyć oczom swoim, co się stało z jego strykiem, co to był chłopem jak dąb, a ładny na twarzy jak miesiączek w pełni i tak gruby w sobie, jak wiązka słomy żytniej. I przywitał się Szymek ze strykiem żebrakiem i pytał go:

— A gdzieście wy stryku przebywali dotąd, jakeście poszli ze dworu i ze wsi naszej?

A dziad mówi z płaczem:

— Już to temu dobre trzydzieści lat, jak ja wyszedł z tej wsi, a było mi tu bardzo dobrze; mój ojciec był karbownikiem, miał chleb i pracę, nas było czworo dzieci rodnych, ale żadne nie dorobiło się niczego, bo wszystkie były hultajami a ja największy między niemi. Miałem bardzo dobrą służbę u nieboszczyka pana, ale kto ma dużo wszystkiego, ten najczęściej jako głupi, traci na końcu wszystko, a traci pewnie wtedy, kiedy zapomina na Boga, na ród swój i nie dba nic nawet na duszę swoją. Kłuł mię święty chlebuś na wsi po gębie, zdawało mi się, że na świecie dalekim lepiej można mieć niż między swojakami i porzuciłem dom ojcowski i znajomych i włóczyłem się po świecie, a w końcu złapano mię i oddano do wojska.

I płakał stary i garbaty dziad, bo koło niego stali gospodarze, co to każdy miał i domek jaki taki i dzieci i życie nieostatnie i poszanowanie we wsi, a byli oni wtedy małemi dziećmi, kiedy on z rozkoszy wielkiej odchodził ze dworu i ze wsi i szedł szukać po świecie obrazy boskiej. Płakał nad tem, że on był ostatnim dziadem i pokaranym od pana Jezusa, a inni byli sobie gospodarzami i porządnymi ludźmi we wsi i na ojcowiźnie.

Tu zapytał go jeden z gospodarzy:

— A gdzieście wy Grzegorzu stracili nogę i dostali tego wielkiego guza na plecach?

A dziad mówił:

— Nogę urwała mi armatnia kula na wojnie, a tego guza dostałem ztąd: gdym leżał na wojnie na ziemi z urwaną nogą i nie mogłem się podnieść, wtedy przyszedł jakiś człowiek i chciał ze mnie łachy wojackie zedrzeć, ale ja się bronił rękami, on mię przewrócił do góry i uderzył tak mocno w plecy, że mi pacierz złamał i odtąd noszę garb na plecach.

A jeden gospodarz, co to był i rozumny i pobożny we wsi, tak do niego zaczął mówić:

— Nielepiej że to było siedzieć cicho we dworze, jeść chleb i pilnować się jak potrzeba? Ot widzicie staruszku, że niby świat duży i dużo na nim różnego narodu i dużo chleba i pieniędzy, ale zawsze najmilej między swemi; wszak tu i dom ojca i kołyska własna i ogród z sadowiną swojski i brat i swat, ksiądz i pan, po Bogu bracia i przełożeni nad nami; wszak tu i kościółek nasz z ukrzyżowanym panem Jezusem i z obrazem panny najświętszej i cmentarz, gdzie spoczywają kości dziada i babki i ojca i matki i wszystkich swojaków; na cóż to szukać po świecie czego, kiedy nasz polski kraj ma wszystko dla pana i chłopa, tylko trzeba mieć rozum i bać się pana Jezusa i pracować i pilnować.

A dziad mu odpowie:

— Mam ja teraz taki sam rozum, jak wy gospodarzu, i tak samo wiem wszystko, ale dla mnie to już za późno; dla was młodszych trzeba takiego rozumu, abyście siedzieli w domu, pilnowali roli, albo i służyli drugim ale uczciwie i dobrze, a nie włóczyli się po cudzych krajach i nie szukali złego nie potrzebnie. Szukałem ja sobie za młodu biedy, to ją mam teraz na starość; deptałem po chlebie, a teraz zbieram okruszki do torby, aby nie umrzeć z głodu; wydziwiałem we dworze i po chałupach, we wsi i na wojaczce, a teraz nie mam ani kącika dla siebie, trza umierać Bóg wie gdzie i nie wiem, kto mi grób wykopie i na jakim cmentarzu! Naponiewierałem się nie mało go świecie, a dziś mam za to guz na plecach i nogę przez pół urwaną, i kij żebraka w rękach; ale przynajmniej dziękuję Bogu, że mnie za życia między swoich przyprowadził

i że jeszcze są ci, co mnie znają. O Boże! znają mnie jako chłopa walnego a dziś widzą dziada i kalekę przed sobą!

I płakał stary Grzegorz na biedę swoją, ale dobrzy gospodarze mówili mu:

— Nie frasujcie się dziadku, między swoimi nie zaginiecie! my wam tu poradzimy.

I został dziad Grzegorz we wsi, i opowiadał różności o swych przygodach. A gdzie on teraz? Oto umarł jako poprawiony grzesznik, co się przecie raz upamiętał i poznał choć na starość, że to zawsze ten szczęśliwy, kto w swoim domu siedzi i Pana Boga chwali, i pilnuje swego a nie łaknie cudzego.

A ja wam to opowiadam, moi kochani, abyście wy nie próbowali podobnego szczęścia; lepiej służyć cicho i uczciwie to po dworach, to na plebanji, to u gospodarza, bo swój swego zawsze poratuje w nieszczęściu i nie wygoni na starość.

Ks. Wojciech z Medyki.

Rozmowa o śniegu.

W ciepły dzień zimowy stał sobie pan Józef, organista i nauczyciel wiejski przed domkiem i patrzał po okolicznych pagórkach, bielutkich jeszcze od śniegu, gdy tymczasem cała wioska i bliskie pola czerniały ziemią. Wtem podszedł ku niemu sąsiad gospodarz i po zwykłem powitaniu chrześcijańskiem rzecze:

— Zdaje się, że to już po zimie. Słoneczko przygrzewa i wnet wszystek śnieg roztopi, wprawdzie dużo błota, ale to jakoś człowiek chętniej znosi, bo sobie prędką wiosnę wróży.

— Ho, ho! daleko jeszcze do wiosny, do zieloności, odpowie pan Józef; patrzcie co tam śniegu jeszcze leży na pagórkach, na polach, w lasach; trzebaby na niego dobrze ciepłych dni żeby ustąpił.

— Proszę was, panie Józefie, czemu też to jedno słońce tak niejednakowo śnieg roztapia; przecież ztąd do owych pa-

górków nie tak daleko, a oto tu śniegu dawno niema a tam jeszcze leży? Albo co jeszcze dziwnego, to że w mieście śnieg najpierwej topnieje?

Na to odpowiedział pan Józef:

— Trzeba wam wiedzieć, że słońce wszędzie jednakowo grzeje, ma się rozumieć jeżeli o miejscach nie bardzo od siebie oddalonych mówimy, a jeżeli się one nie jednakowo rozgrzewają, to słońce temu nic a nic nie winno. Żebyście to dobrze zrozumieli, powiem wam, że promienie słoneczne padają w prostym kierunku, a jak natrafią na jaką rzecz przez którą przejść nie mogą, wtedy odbijają się od niej, jak na przykład kamień od muru. Jeżliście szli kiedy w mieście w dzień gorący ulicą po pod białe mury, to musieliście czuć, że i z góry grzeje i od muru gorąco. Zatem śnieg w mieście topnieje prędzej, bo leży między murami, przez co grzeją go nietylko promienie z góry padające, ale też i te, które się od murów odbijają. Ale co jeszcze rzecz ważna to kolor biały śniegu, który ma to do siebie, że ze wszystkich kolorów najbardziej promienie słoneczne odbija. Połóżcie na śniegu kawałki sukna różnego koloru, a przekonacie się, że pod czarnem suknem śnieg najpierwej stopnieje, potem pod niebieskiem i zielonem, a najpóźniej pod białem. Otóż wiedząc to nie będziecie się dziwować, czemu w mieście i tu oto we wsi śnieg prędzej znika jak na polach: bo nie jest biały, ale zabrudzony od błota i różnych nieczystości.

— Prawda: a że to człowiek od razu na to nie przyjdzie, kiedy oto w lecie dobrze czuje, że czarna sukmana bardziej grzeje jak biała.

— Dobrze mówicie, bo tu także kolor ciemny nie odbija promieni od siebie jak biały, ale je w sobie pochłania i przez to się bardziej rozgrzewa.

— To przecie dobrze ludzie powiadają, choć nie wiedzą dla czego, że czarna rola ciepła a żółta i gliniasta zimna. Ale proszę was panie Józefie, kiedyście mi już tyle wyjaśnili, powiedzcież mi jak też mogą wytrzymać owi nieboracy murzyni, cali czarni, co to jakeście nam ostatniej niedzieli czytali, tam gdzieś w najgorętszych krajach mieszkają? To się tam te biedaki spalą od słońca!

— Tu jest inna rzecz. Prawda że czarne ciało murzyna, więcej pochłania w siebie promieni słonecznych, ale za to nie cierpi tyle od palącego słońca, co ciało białego człowieka, które te promienie odbija. Włóżcie na ręce sukienne rękawice, jedną białą, drugą czarną, i potrzymajcie je na słońcu, a przekonacie się, że pod czarną choć będzie gorącej, skóra pozostanie wilgotną; pod białą zaś rękawicą, będzie w prawdzie chłodniej, ale się ręka opali, a nawet bąble wystąpią. Dla tego to, choć murzynom gorzej na słońcu jak białym, ale im za to zdrowiej, i mogą dłużej gorąco wytrzymać.

Na tem skończył pan Józef, a potem rzekł:

— Mój Boże, jakże to wszystko cudownie i mądrze urządzone na tym świecie! każda rzecz, która się w oczach naszych dzieje, ma swoją przyczynę i nigdy nic się na darmo nie stanie, a człowiek ma na to dany rozum od Boga, aby tego wszystkiego dociekał i wolą swoją także podobnie się rządził.

Obowiązki rolników.

Nikt temu zaprzeczyć nie może, że stan rolników ze wszystkich stanów jest najpierwszy i najpotrzebniejszy; albowiem bez niego żaden stan ostać się nie może. Najpierwej chodzi każdemu o otrzymanie życia, a dopiero, skoro to sobie zabezpieczy, myśli o wygodach, przyjemności, bezpieczeństwie, nauce. A zkąd to mamy utrzymanie życia? z ziemi, z roli. Z niej jemy w pracach po wszystkie dni żywota naszego; w pocie oblicza naszego pożywamy chleb, aż się wrócim do ziemi, z której jesteśmy wzięci. Z pracy więc koło roli utrzymujemy życie. Wszystkie przeto stany wyprzedził stan rolniczy, od niego wszystkie inne pochodzą.

Jakie zatem są jego obowiązki?

Chociaż ten stan najwięcej ma trudów i mozołów, bo ziemia według wyroku Bożego ciernie i osty rodzić nam będzie i w pocie oblicza chleb pożywać nam przychodzi; mamy jed-

nak Bogu dziękować za tę łaskę, że nas do tego stanu powołać raczył, że obsypuje nas codziennie swem widocznem błogosławieństwem, że z Jego ręki wszystkie dary odbieramy. A przeto cenić mamy wysoko ten stan najpierwszy i najpotrzebniejszy.

Lecz nic nie możemy umieć bez nauki, a stan rolniczy wiele nauki wymaga i doświadczenia. Dla tego uczyć się ma rolnik codziennie, i co chwila, aż do grobowej deski. Nie mów: tak mój ojciec robił, i było dobrze. Nie jedno teraz jest lepsze, a więc się tego ucz i doświadczaj, a co twój ojciec dobrze robił to zostaw, i tak samo rób. Ale nie bądź uprzedzony, bo młodsza głowa może więcej umieć od siwizny.

Korzystaj głównie z czasu, podziel dni i godziny, nie odkładaj pracy na jutro, ale kiedy możesz, to zaraz rób, bo jutro to nie twoje. Zawczasu zrób wszystko, a pozostanie ci jeszcze dosyć czasu i do wytchnienia i do zabawy.

Jeżeli jesteś gospodarzem, to pamiętaj, że nie ten dobry gospodarz, co sam ciągle rękoma pracuje, ale tylko ten, co wszędzie go pełno i całego gospodarstwa dojrzy, bo oko pańskie konia tuczy, a czego nie dojrzysz okiem, to dołożysz workiem.

Najpierw zrób to, co jest ci koniecznem, bez czego na żaden sposób obejść się nie możesz, potem dopiero to, co ci jest potrzebnem, a nakoniec, co przyjemnem. Podobnie sobie postępuj z kupowaniem, najpierw kup sobie to, bez czego obejść się nie możesz a potem, jeżeli pieniądze ci wystarczą to, co ci jest potrzebnem, a nakoniec jeżli masz za wiele pieniędzy, to co ci przyjemność sprawi.

A strzeż się bracie, kłótni, procesów, gniewu, zazdrości, pijaństwa, i krzywdy ludzkiej.

Bo słuchaj co mówią starzy, a mądrze mówią:

Grosz jeden ukrzywdzony wyciągnie ci z kieszeni dziesięć poczciwie zapracowanych.

Lepsza słomiana zgoda, a niżeli złoty proces. Dla zgody nieraz trzeba być głuchym i ślepym.

Nie odwlekaj roboty, bo tego zawsze pożałujesz.

Próżniactwa i boskiej obrazy.
Unikaj jako zarazy.

Swego nie marnuj, cudzego nie pragnij.

Lepiej jest krzywdę ponosić, jak czynić.

Wstrzemięźliwość daje zdrowie, a czyste sumienie spokojność.

Na te rady starszych pamiętaj zawsze i wszędzie, naucz się ich na pamięć, a będzie ci z tem dobrze.

A nakoniec ze zwierzętami obchodź się po ludzku, nie męcz ich bez potrzeby, bo i one są stworzeniami boskiemi danemi tobie ku pomocy i ulżeniu w pracy, ale nie na to, abyś się nad niemi pastwił. Miej litość nad niemi i wtenczas, gdy je zabijasz na swój pożytek, ukróć im bolu o ile tylko możesz; bo człowiek bez litości to potwór prawdziwy. A wtenczas, kiedy i nad najdrobniejszym robaczkiem litość mieć będziesz, to i Pan Bóg nad tobą się ulituje, i pobłogosławi tobie w pracy i w dobytku, w polu i ogrodzie, na dzieciach i wnukach rozlicznych. Bo kto nie ma litości, ten nie ma i Boga.

Szk. N.

RÓŻNOŚCI.

***Jaszczółd**, stary ułan.* Czytaliście przeszłego roku w Dzwonku strona 144, że ułan polski podporucznik Jaszczółd niezmiernie był odważnym. Dziś opowiem wam zdarzenie, z którego poznacie, że prawdziwie takim był, jak go tam opisano.

Było to wieczorem, więc wybrał się z przyjacielem swoim, który był trębaczem, na zwyczajną sobie pohulankę do szynku w mieście Stanisławowie. Tam doskonale sobie podpiwszy, ledwo za miasto na wzgórek pod wiatrak zajechali, zaczęło im w głowach okrutnie szumieć, a że i oczy się klejiły więc uwiązali konie u śmigi i pokładli się spać na trawie. Gdy nazajutrz promienie słońca przerwały sen naszych wiarusów, zerwał się Jaszczółd, a ziewając i rozciągając ręce, łamał sobie głowę, jak i po co zajechał na tę górkę pod wiatrak.

Kiedy się tak przeciąga i medytuje, zawołał na niego trębacz ledwo co obudzony a jeszcze na trawie siedzący:

— Patrzajno bracie! ot ta

prawo z daleka, to pono nie nasi, Jakiś tęgi oddział konnicy prosto na miasto maszeruje. Trzeba bodaj zmykać. I zerwawszy się z miejsca, poskoczył do konia, chcąc rychło wykonać co doradzał.

— Głupiś, odpowiedział Jaszczółd, siadaj na konia, i ja tak zrobię, ale nie po to, aby uciekać. A dosiadłszy konia i wywijając lancą, że się biała z czerwonem chorągiewka pod słońce migała zawołał:

— Zatrąb do ataku!

— Czyś oszalał? odparł trębacz, nas dwóch, a tam więcej jak szwadron przed nami.

— Trąb, mówię ci, jeżeli nie chcesz, żebym cię zwalił na odlew. A czy nie widzisz, jaka nam pomoc na lewo pod górą idzie?

— Co za pomoc? rzekł trębacz, spojrzawszy pod rękę na dolinę, to gromada owiec.

— Tak, ale nieprzyjaciele jej nie widzą, ale co oni widzą, to tęgą kurzawę, którą barany maszerując wzbijają. Trąb, mówię ci, do ataku, potem puścimy się z kopyta do tych owiec, niby to do komendy naszej, a zobaczysz co z tego będzie. Trębacz rad nie rad zatrąbił. Jaszczółd spojrzał na prawo za górę.

— A co? widzisz? oddział nieprzyjacielski stanął w miejscu. Trąb jeszcze! A widzisz, oni myślą, że za tym kurzem nie barany ale cały nasz pułk ułanów. O patrzajno co oni robią, prawo w tył i w nogi, aż się za nimi kurzy. Myślałbyś że to druga gromada owiec. Teraz naprzód! marsz! a trąb co możesz.

I ruszyli oba pędem z góry do miasta, z którego wyszli mieszkańcy i gromadzili się przed karczmą na trakcie stojącą, wyglądając przedniej straży, z której dwóch ułanów przy odgłosie wojennej trąbki czwałem ku nim pędziło. A krzyczą wszyscy: Idą ułani, idą! Ten okrzyk przeraża siedmiu żołnierzy na czatach przy karczmie stojących; trębacz trąbi, ci coraz bardziej truchleją, oglądając się za pułkiem, który miał ciągnąć za nimi. Dalej więc w nogi, rzucają broń, kryją się jak mogą po chałupach i w karczmie. Jaszczółd przypada zdyszany aby wybadać czy nie ma nieprzyjaciela w mieście, i aby mógł ujść pojmania i wrócić do swoich, gdyby tak było. Aż tu powiadają, że nieprzyjaciel jest, ale bez broni i ukryty w chałupach. Przed takim nieprzyjacielem nie potrzeba uciekać.

— A gdzie oni są? wrzeszczy Jaszczółd. Wydać mi ich wszystkich bo to są jeńcy wojenni i dodać mi pomoc z chłopów, abym ich do mojej komendy odprowadził.

Jak rzekł, tak się stało, i Jaszczółd bez strzału, bez cięcia pałaszem, tylko za pomocą trąbki kolegi swego siedmiu jeńców zabrał i cały szwadron w pochodzie zatrzymał.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.